

NA BIAŁYM, GRUBO lakierowanym parapecie między zamkniętymi ramami okna dreptał zielonkawy żuk. Przesuwał się wzdłuż odklejającej się gumy uszczelniającej. Docierał do ściany. Badał ją ruchliwymi czułkami i z rozpaczliwą cierpliwością ruszał z powrotem, by dotrzeć do takiej samej ściany.

Robert przyglądał się mu oparty czołem o szybę. W ręku trzymał dopalającego się papierosa.

Zabrzączał dzwonek interkomu.

– Hamerski skończył gadać – mruknęła sekretarka z tlenionymi, rzadkimi włosami i zbyt długą twarzą. – Możesz wejść.

Robert otworzył okno, płosząc siedzące na gzymsie poniżej gołębie. Wziął na dłoń chrząszcza i postawił go na blaszanym, upstrzonym ptasimi odchodami parapecie.

– Spadnie i zabije się – pisnęła dziewczyna.

– Mają skrzydła – wyjaśnił. – Może nie są piękne jak motyle, ale potrafią latać.

– Mogą stąd odlecieć? – zachichotała nerwowo. – Te żuki? Nie to, co my, nie?

– My nie musimy odlatywać. – Wrzucił dymiącego papierosa do porcelanowej popielniczki stojącej przy maszynie do pisania. – Nam wszystkim jest tak dobrze, że... – Zamilkł, zapiął kołnierzyk i podszedł do obitych

gąbką drzwi z napisem „Zastępca Komendanta MO do spraw Służby Bezpieczeństwa”.

– Że co? – nie wytrzymała.

– Że dobrze nam tak – warknął i nacisnął klamkę.

////// GABINET BYŁ DŁUGI i duszny. W strudze słońca wpadającego przez zamknięte okno wirowały drobinki kurzu. Po lewej stronie widać było wielką metalową szafę, z boku której stała odrapana meblościanka wypełniona broszurami partyjnymi. W ciemnej części pokoju za wielkim, reprezentacyjnym biurkiem kulił się gruby, łysiejący mężczyzna. Nad jego lśniąca głową czerwieniło się godło państwowe, pod którym wisiał pamiątkowy talerz z napisem „Szkoła Oficerska im. F. Dzierżyńskiego”. Przed biurkiem stały dwa głębokie, obite skórą fotele.

– Kapitan Karski melduje się, towarzyszu komendancie.

– Siadajcie. – Nalane policzki zadrgały.

Robert zapadł się w jednym z foteli. Starał się wywołać na twarzy wyraz uwagi.

– Mam tu przed sobą waszą opinię służbową – komendant powiedział niemal szeptem. – Oraz wniossek waszego przełożonego o mianowanie was majorem. Ale sam nie wiem... Macie świetne wyniki w pracy, jednak wszyscy przełożeni skarżą się na waszą arogancję... A ile skarg wpływa na was!

– Ile?

– Dużo.

– A od kogo, towarzyszu?

– Nie wiem. – Ciężkie barki zadrgały niecierpliwie. –  
Oni się nie podpisują.

– Czyli mówimy o anonimach?

– Nie. Mówimy o tym, jak kolektyw ocenia was jako  
człowieka.

Karski zagryzł wargi.

– Cóż... – wymruczał. – Cóż byśmy zrobili bez tego  
beziemiennego głosu ludu, prawda?

Grubas za biurkiem parsknął.

– Wasza ironia nie przysparza wam popularności,  
wiecie?

– Wiemy.

Komendant wyciągnął z wymiętej paczki rozsypują-  
cego się radomskiego.

– No, nieważne. – Pstryknął zapalką i zamachał nią,  
by zgasić ogień. – Chcę powiedzieć, że my tu nie zwraca-  
my uwagi na takie niepoparte dowodami odgłosy.

– Czyli chcecie mi jednak dać awans na majora?

– No... tak, ale do dwudziestego drugiego lipca jesz-  
cze sporo czasu. Więc najpierw chcemy wam coś zlecić.  
To delikatna sprawa.

Wyciągnął z szuflady zieloną teczkę z napisem:  
„Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. ŚCIŚLE TAJNE.  
TECZKA PERSONALNA FUNKCJONARIUSZA”. Rzucił  
ją Karskiemu na kolana.

– To wszystko, co wiemy o poruczniku Hellerze –  
warknął. – Zapoznajcie się z tym.

– Ale po co, towarzyszu? Przecież ja jestem z kontr-  
wywiadu, a to, jak widzę, nasz człowiek. To sprawa Wy-  
działu Wewnętrznego.

– Wydział Wewnętrzny już się tym zajmował.

– Więc po co mnie się to zleca?

Grubas wydmuchnął kłęb śmierdzącego dymu.

– Towarzysze z Wydziału Wewnętrznego to prości i niezawodni synowie klasy robotniczej, ale tu potrzeba... myśleć. No, rozumiecie mnie, trzeba delikatności i kojarzenia faktów. Zróbcie to szybko. Macie wszystkie pełnomocnictwa. Tylko działajcie z głową. Żeby nie było plotek i skandali. Zresztą wiecie sami. Pracujecie tu już czternaście lat i choć macie niewyparzoną gębę, to wszyscy podkreślają, że... no, mówiąc krótko... nieco różnicie się od naszego aktywu operacyjnego. I choć tego pryncypialnie nie pochwalam, to jednak w złożonych momentach społeczno-politycznych potrzeba takich ludzi, którzy mogą wtedy wykazać swą wierność ideałom przyświecającym naszej walce. No, krótko mówiąc, myślę, że dacie sobie radę.

– Ale co on zrobił? – przerwał mu Karski.

– Zniknął! – charknął Hamerski.

– Dlaczego to takie ważne?

– On pracował w Wydziale IV. Rozumiecie? Inwigilacja kleru, te rzeczy, a teraz, gdy władza ludowa toczy dialog z kontrrewolucją w Magdalence... Żle by się stało, gdyby on na przykład wystąpił w Radiu Wolna Europa i nakłamał o tym, co tam się działo.

– A dużo mógłby nakłamać?

– Dużo. Był zdolnym oficerem.

Hamerski poczerwieniał i pochylił się nad biurkiem.

– Macie go znaleźć – wycharczał. – Za wszelką cenę. Rozumiecie? On musi się znaleźć!!!

\*\*\*

ROBERT POŁOŻYŁ NA swoim biurku teczkę otrzymaną od Hamerskiego. Usiadł na koślawym nieco krześle obrotowym i zapalił papierosa. Odgiął zieloną okładkę.

Na pierwszej stronie widniał gruby napis: ANKIETA PERSONALNA.

Poniżej było przyklejone zdjęcie szczupłego ciemnowłosego mężczyzny. Miał zapadnięte policzki, krzaczaste brwi i mocno zarysowaną szczękę. Nad lewym kącikiem ust widać było wyraźną zmarszczkę. Ciemne oczy wpastrywały się nieruchomo, jakby hipnotycznie w obiektyw. Wąskie usta kontrastowały z delikatnym nosem.

NAZWISKO: Heller

IMIONA: Artur Franciszek

DATA I MIEJSCE URODZENIA: 12.02.1960 Raby pod Wrocławiem

IMIONA RODZICÓW: Krystian i Barbara z domu Wiczyska (oboje rodzice nie żyją od 1961 roku)

POCHODZENIE SPOŁECZNE: inteligenckie

STAN CYWILNY: żonaty, żona: Karina Heller z domu Bożech

WYKSZTAŁCENIE: wyższe – Uniwersytet Wrocławski Wydział Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego, magister politologii

ZAWÓD WYUCZONY: politolog

Inspektor Wydziału IV Służby Bezpieczeństwa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych

Za ankietą było pisane odręcznie podanie o przyjęcie do służby oraz życiorys. Litery były ostre, zdecydowane, chwilami nieczytelne, jakby autor stawiał je w niesamowitym pośpiechu:

*Urodziłem się 12.02.1960 roku w Rabach, w rodzinie inżyniera i nauczycielki. Rodzice nie żyją od 1961 roku. Początkowo po ich śmierci mieszkałem u babci ze strony matki, Stefanii Wiczyskiej w Rabowie, ale w rok potem zmarła na raka, a ja zostałem umieszczony w Państwowym Domu Dziecka nr 7 we Wrocławiu, gdzie przebywałem do 1978 roku. W tymże roku podjąłem pracę oraz rozpocząłem studia zaoczne, które ukończyłem w 1984 roku. W 1985 roku ożeniłem się z koleżanką ze studiów, Kariną Bożech, z którą pozostaję w związku małżeńskim do dnia dzisiejszego. Nie mam dzieci. Nie nadużywam alkoholu.*

//// DO TECZKI DOŁĄCZONE były trzy opakowania po kasetach w papierowych kopertach, do których przymocowano za pomocą spinaczy luźne kartki papieru z wydrukami numerów. Żadna z nich nie miała gryfu tajności, tylko na jednej była naklejona kartka z napisem: 127/II/89.

Karski podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

– Cześć, Sławek – burknął. – Mam przed sobą pudełko po zapisie podsłuchu telefonicznego z numeru 815 64 63. Numer zlecenia: 127/II/89. Potrzebuję transkrypt tych podsłuchów. Macie zapisy?

– Zaczekaj chwilę. – Słysząc było, jak ktoś przekłada jakieś papiery.

– Nie realizowaliśmy tego numeru – mruknął Maciek. – Nie mam żadnych dokumentów.

– Ale ja mam kasety i wypisane numery!

– Może Warszawa to robiła. My nie. Trzymaj się!

Robert raz jeszcze wybrał numer.

– Mówi kapitan Karski – mruknął. – Prowadzę dochodzenie w sprawie zniknięcia porucznika Hellera, kto jest z jego sekcji?

– Nie ma nikogo – wyjąkała sekretarka.

– A z wydziału?

– Wszyscy są w terenie.

– Pani nie rozumie, mam pełnomocnictwa komendanta.

– A ja mam zakaz rozmów na ten temat – prychnęła, ale jakoś niepewnie. – Od komendanta. I chcę tu jeszcze pracować.

Szczęknął rozłączany telefon.

Karski powtórnie wykręcił numer. Po chwili usłyszał piskliwy głos mówiący:

– Wydział Kadr, słucham?

– Kapitan Karski się kłania, mogę z naczelniczką?

Czekał przez chwilę, bębniąc palcami o blat biurka.

– Halo, miło mi, kapitan Karski. Dostałem od komendanta Hamerskiego polecenia odnalezienia porucznika Hellera, można zejść do pani?

– Już mnie pytali o Hellera.

– Wiem, ale chciałbym, mimo to, zadać kilka pytań.

Można?

– Proszę. Jestem teraz wolna.

////// NACZELNICZKA KADR SIEDZIAŁA pod wielkim plakatem, na którym płowowłosa dziewczyna w mundurze milicjantki stała na tle pomnika Lenina. Na ukos jej bujnej piersi wisiał kałasznikow. Napis pod nią głosił: „W służbie Ludowej Ojczyzny”.

– Nie odstrasza kandydatów? – spytał Karski, siadając naprzeciwko drobnej, ciemnowłosej kobiety z wielkimi workami pod zmęczonymi oczyma.

Wzruszyła ramionami.

– Tu nic nikogo nie odstrasza. Zresztą... – zaczęła nagle mówić, jakby się przestraszyła własnych słów. – Do nas przychodzą ludzie sprawdzeni. Sól, tego no, ziemi... Ideologicznie zweryfikowani towarzysze.

– Chciałbym pogadać o Hellerze.

– Już o niego wypytywał Wewnętrzny.

– Wiem, ale komendant mi to zlecił.

– Nic dziwnego, bo ci akurat towarzysze nie są na właściwym miejscu.

– A jakie miejsce byłoby dla nich właściwe?

Poruszyła się niespokojnie.

– Przejdźmy do sprawy Hellera, dobrze?

– Jasne. Jakie miał opinie okresowe?

– Nie dali ich wam? – spytała podejrzliwie kobieta za biurkiem.

– Nie.

– On był świetny w tym, co robił, może za dobry, bo jakoś nie mógł awansować.

– Jakie miał wyniki testów podczas przyjęcia?

– Świetne. Inteligencja wybitna, znakomite zdolności analityczne, niezwykła odporność na stres. Ponadto był bardzo sprawny fizycznie. Poczekaście. – Pogrzebała

w biurku i wyciągnęła z niego świstek papieru z nadrukiem „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych”. – Właśnie pisałam raport w tej sprawie – wydyszała. – Więc znalazłam jego opinię psychologiczną. Posłuchajcie:

„Kandydat MSW: poziom myślenia logicznego na materiale abstrakcyjnym – bardzo dobry, poziom słownictwa czynnego – bardzo dobry, koncentracja uwagi i dokładność prostych operacji myślowych kształtuje się na poziomie znakomitym. Kandydat o osobowości introwertywnej, lecz nieskłonny do niepokoju. Niezwykle silna struktura ego. W sytuacjach emocjonalnego zagrożenia jego zachowania nie powinny ulegać dezintegracji. Nie ma zachowań nieodpowiedzialnych, impulsywnych. Jest niezwykle zrównoważony, odporny na stres. W sytuacjach niestereotypowych, nowych, w których zdany jest na własne siły, wyciąga własne wnioski i podejmuje jedynie słuszne decyzje. Zbyt wysoki poziom zamknięcia i obojętności na innych, ale w warunkach grupowych działa sprawnie i radzi sobie ze współpracą z kolektywem, choć ma wyraźne skłonności do izolacji”.

Robert pokiwał głową.

– Miał kolegów w służbie?

– Skąd! Heller nie był głupi, po co miał im ułatwiać pisanie donosów? Pan ma tu przyjaciół? Skrzywił się.

– A rodzina?

– Nie miał. Stracił rodziców w wypadku samochodowym chyba gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych. Wychowywał się najpierw u babki, a po jej śmierci w Państwowym Domu Dziecka. Nie pamiętam gdzie, ale powinno to być w jego teczce personalnej.

– Ta teczka to bzdura. Tam nic nie ma, tylko drętwe podania. Zero faktów, nic, z czego dałoby się wyprowadzić jakieś wnioski. Jak wszystko, co my tu zbieramy.

– To pan powiedział, nie ja. Ja robię, co do mnie należy.

– Aha... Żona? Dzieci? Wiemy coś o nich?

– Nie miał dzieci... Ale był żonaty. Tyle że mu się niezbyt układało w małżeństwie. To chyba dość powszechne tutaj.

– Konflikty w pracy?

– Kto ich nie ma?

– On miał?

Zrobiła kwaśną minę.

– Donosili na niego, ile wlezie, ale to przytrafia się każdemu, kto chociaż podpisać się umie.

– Czuję rozgoryczenie w pani głosie?

– Bo mi na dupę wsiedli! – zawarczała. – Wzięli wszystkie dokumenty. Każą mi pisać wyjaśnienia. A to nie moja wina! To był świetny oficer. Inteligentny i skuteczny. Może za dużo myślał jak na ten resort, ale my nie umiemy sprawdzać waszych myśli... Zresztą, gdybyśmy mogli to robić, wtedy pewnie większość by wyleciała.

Karski wstał i podszedł do drzwi.

– Obwiniają panią? Za co?

Patrzyła nieruchomo przed siebie.

– To nie nasza wina – wyszeptwała, a potem ukryła twarz i zaczęła nagle szlochać.

Chciał podejść do niej, ale zatrzymała go ruchem ręki.

– Niech pan idzie! – wyjęczała. Nie patrząc na niego, dodała:

– A może to naprawdę my zrobiliśmy z niego bestię?

\*\*\*

////// SIEDZIAŁ W POLONEZIE ZAPARKOWANYM pod dzieściopiętrowym blokiem, którego płyty były łączone smołą. Wokół ławek przed klatkami gromadzili się apatyczni młodzieńcy o szczurzych twarzach i pluli pod nogi. Rachityczne, skatowane przez dzieci drzewka uparcie trzymały się życia.

Karski spojrział w lusterko nad kierownicą. Przetarł podkrążone oczy. Próbował ułożyć siwe włosy, ale zrezygnował. Przejechał dłonią po posiwiałym zaroście nieco łagodzącym kształt kwadratowej szczęki.

Wysiadł z auta, zamknął je i poszedł do środkowej klatki. W spisie lokatorów za szybą odnalazł nazwisko: „A. K. Hellerowie – numer lokalu 87”.

W windzie wszystkie guziki były nadpalone. Na ścianach widniały zaschnięte zacieki śliny, a na wysokości oczu pysznił się wydrapany nożem napis: „HUJ CI W DUPE”.

W korytarzach wisiał zapach gotowanej kapusty i zwykły, blokowy smród.

Kobieta, która otworzyła mu drzwi, była bardzo szczupła i zniszczona. Miała bladą twarz i głębokie cienie pod oczami. Tlenione włosy były krótko obcięte, a paznokcie zaciśniętej na framudze ręki obgryzione niemal do krwi.

- Słucham?
- Chciałbym porozmawiać o pani mężu...
- O byłym mężu.
- Tego nikt mi nie powiedział.

– Bo nikt nie pytał. Domyślam się, że pan jest od niego z pracy? Z SB?

Kiwnął głową.

– Mogę wejść?

– Jestem zajęta.

– Zależy mi na tym... I mam ku temu powody. – A gdy zauważył zaciśnięcie ust kobiety, dodał z westchnieniem: – Kiedy się państwo rozwiedli? Chce pani rozmawiać w drzwiach?

Zawahała się.

– Niech pan wejdzie – mruknęła w końcu. – Tu strasznie się głos niesie po korytarzu.

Mieszkanie było trzypokojowe. Zaniedbane. Tuż przy wejściu widać było zamknięte drzwi. Nie typowa dla bloków kombinacja sklejk i szkła, ale solidne, drewniane drzwi pomalowane łuszczącą się białą farbą.

Weszli do dużego pokoju, w którym stały ława z wersalką i dwoma fotelami oraz zmatowiała, wypełniona książkami meblościanka.

– Niech pan siada. – Kobieta opadła na fotel. Jakby nie miała kości. Bezwładnie.

Usiadł naprzeciwko. Odchylił się na oparcie i przez chwilę milczał.

– Czemu pan interesuje się Arturem? Przecież to wasz człowiek?

– Zniknął. Szukamy go.

– Zniknął – powtórzyła. W jej głosie słychać było zawód i zaskoczenie.

– A ja zawsze sądziłam, że to będzie coś straszliwego – szepnęła. – Coś niewybacznego.

– Dlaczego?

Wyciągnęła papierosa z leżącej na stole paczki i zapaliła go. Siedziała otoczona pasmami dymu i wpatrywała się w niego zmęczonymi oczyma.

– On był jak chodząca bomba – powiedziała w końcu. – Jak dopalający się lont. Coś w nim tykało. Odmierzało czas.

– Nie rozumiem...

– Wierzę. Zawsze mnie dziwiło, że przyjęli go do pracy w esbecji. Jakby nikt nie widział, co się z nim działo, kim był... Ale oni widocznie, jak pan, nie rozumieli.

– A kim był?

Parsknęła przytłumionym śmiechem.

– Czy wyście naprawdę nic nie widzieli? Jak można było być tak ślepym?

Machinalnie zapalił papierosa. Milczał.

– On prawie nie sypiał – wyszeptwała. – Zanim odszedł, zniknął na całą noc. Wiedziałam, że go nie ma, bo budził mnie rano, gdy otwierał drzwi, wracając.

– Odwiedzał kogoś?

Skrzywiła się pogardliwie.

– Wiem, co pan ma na myśli... Oczywiście, że miał kogoś, ale potem, rozumie pan, jak już się wyprowadził.

– Więc gdzie chodził?

– On... biegał. Czasem całą noc, a rano szedł do pracy. Tylko za dnia potrafił zasnąć. Na siedząco. Czujnie jak zwierzę. Gdy podchodziłam do niego, otwierał oczy, ale nie ruszał się. Czekał...

– Na co czekał?

Wzruszyła ramionami.

– Widział pan, jak budzi się pies? Leży i obserwuje pana. Zastanawia się, czy ma gryźć, czy uciekać. Taki

był Artur... On nie mógł spać w nocy. Coś go wyganiało z domu. A za dnia nie mógł spać, bo raziło go światło słoneczne. Był nadwrażliwy. Pod każdym względem.

– Miał jakieś hobby?

Pokręciła głową.

– Ja nie wiem, co on robił! – jęknęła. – Rozumie pan? Żyłam z nim tyle lat, ale do dziś nie wiem, kim on był i czym się zajmował. Może na początku znajomości wydawało mi się, że go rozumiem, że jesteśmy blisko ze sobą, ale bardzo szybko zrozumiałam, że się myliłam. Jego nie było. Rozumie pan? On tylko udawał kogoś, kim nie był, a w środku... Nie wiem, co tam było.

– Przecież była pani jego żoną.

Zgasiła papierosa w szklanej popielniczce.

– Nie wiem. Nie sądzę... Żył obok mnie. Ale nie ze mną. On miał swój pokój. Zamykał się w nim wieczorami. W nocy wychodził albo spacerował tam, za drzwiami i coś mówił do siebie...

– A w weekendy?

– Wyjeżdżał. Brał plecak i znikał. Nigdy nie mówił, dokąd i po co... Ale potem zawsze prał swoje stare moro. Ja naprawdę nie wiem, co on robił. Nie wiem nawet, kim on był. Żyłam z kimś... lub z czymś... przez kilka lat, ale nic nas nie łączyło. Przebywał w swoim świecie. Czytał, znikał w soboty i wracał po południu w niedzielę brudny i pokryty liśćmi. Słyszałam czasem, jak nocami coś mamrocze, łażąc po pokoju, ale nie chciałam za dużo wiedzieć. Bo się go bałam.

Przejechała dłonią po oczach.

– Bałam się – powtórzyła. – Tego, jak bezgłośnie chodził nocami po domu, jak wracał nad ranem, zabłocony

i mokry. Przerazało mnie jego spojrzenie. Takie martwe, wyprane z uczuć... I to, że nie miał łóżka w pokoju. Tylko biurko i stojące pod ścianami książki. No i plecak, bagnet, który zabierał ze sobą w góry, i buty wojskowe. I nic więcej. Nic. Żadnych potrzeb, żadnych ludzkich pragnień. On nie był... Sama nie wiem! – ukryła twarz w dłoniach.

– Gdzie on teraz mieszka?

– Nie wiem.

– Wyprowadził się i nie zostawił adresu?

– Nie. Nie pytałam. Chciałam, żeby jak najszybciej zniknął z mojego życia.

– Ktoś o niego pytał? Przyjaciele? Znajomi?

– On nie miał przyjaciół. Tu nikt nigdy nie przychodził. Tylko raz ktoś zadzwonił do nas i chciał z nim rozmawiać. Byłam tak zaskoczona, że to nikt od was, że zapamiętałam nazwisko. To był, pamiętam dobrze, Konstanty Korzybski...

– Nikt poza tym?

– Nie.

Zgasił papierosa.

– Pani mówiła – powiedział spokojnie – że on... miał kogoś. Zna pani tę osobę? Wie pani, kto to jest?

– Nie musi pan być taki delikatny! – warknęła. – Oczywiście, że przeglądałam mu rzeczy, ale nie znalazłam nic. Tylko numer telefonu. Zadzwoniłam tam kiedyś, odebrała jakaś młodziutka dziewczyna, ale spałnikowałam i nic nie powiedziałam. Niech pan zaczeka. – Wstała i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła z kawałkiem „Trybuny Ludu” z zapisanym numerem: 8415 45 67.

– Mogę zobaczyć jego pokój?

Wzruszyła ramionami.

– Proszę.

Otworzyła ciężkie drzwi. Pokój był mały. W kącie stało stare rzeźbione biurko, przy nim krzesło z oparciem z tłoczonej skóry. Na blacie antyrama z reprodukcją jakiegoś obrazu. Robert pochylił się i przyjrzał się mu. Na obrazku była żółta, rozświetlona słońcem ulica. Obramowana budowlami z łukowatymi arkadami i ciemnymi jak lufy pistoletów oknami. Przy ścianie jednego z budynków stał wóz cyrkowy z szeroko otwartymi drzwiami. W jego stronę biegła dziewczynka, tocząc przed sobą drewniane koło. Przed nią, u wylotu ulicy widać było cień ni to człowieka, ni zwierzęcia.

Po drugiej stronie biurka opierało się o ścianę lustro w pokrytej płaskorzeźbami ramie. W koronie widniała głowa fauna, którego włosy przechodziły niepostrzeżenie w spirale winogron. Na drewnianym karniszu wisały grube jak koc ciemnozielone zasłony. Na grubym haku pod sufitem kołysał się odrapany, skórzany worek bokserski. Pod oknem leżał pled wojskowy, a obok niego *Biblia* w czarnej, pełnej płam z wosku oprawie.

Robert podniósł książkę. Otworzyła się sama w miejscu, które najwyraźniej ktoś wcześniej wielokrotnie czytał. Grubą linią podkreślone były wersy:

*Niech przepadnie dzień mego urodzenia  
i noc, która rzekła: «Poczęty mężczyzna».  
Niech dzień ten zamieni się w ciemność,  
niech nie dba o niego Bóg w górze.  
Niechaj nie świeci mi światło,  
niechaj pochłoną go mrok i ciemności.*

*Niechaj się chmurą zasepi,  
niech targnie się nań nawałnica.  
Niech noc tę praciemność ogarnie  
i niech ją z dni roku wymażą,  
niech do miesiący nie wchodzi.  
O, niech ta noc bezpłodną się stanie  
i niechaj nie zazna wesela,  
przekłeta przez tych, którzy dniom złorzeczą;  
kto Lewiatana obudzi,  
niech gwiazdy poranku zastłoni,  
by próżno czekała jutrzeńki,  
żrenic nowego dnia nie ujrzała;  
bo nie zamknęła mi drzwi życia  
by zastłonić przede mną mękę.<sup>1</sup>*

Pośród kartek książki tkwiła czarno-biała fotografia. Robert wyjął ją. Na tle bagażnika samochodu niezna-nej marki stał mężczyzna. Zza jego kolan wyglądał ka-walek zagranicznej tablicy rejestracyjnej. Miał na sobie jasny płaszcz, równie jasne spodnie i biały szal fanta-zyjnie przerzucony przez ramię. Twarz była końska, z dziwacznie zwiędłymi policzkami i zwiotczalymi wor-kami pod oczyma. Jasne włosy zaczesane na brylantynę w tył głowy. Patrzył gdzieś w bok. W lewej ręce trzymał ciemny nesesor, w prawej okulary przeciwsłoneczne, zapewne zdjęte przed chwilą. Z lewej strony zdjęcia biegła biała, niewyraźna pręga ramy samochodowego okna.

---

<sup>1</sup> Hi 3, 3–10, *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań–Warszawa 1971.

– Zna go pani? – pokazał jej zdjęcie.

– Nie. W życiu nie widziałam tego człowieka... Ja nawet nie wiedziałam, że to tu jest. Nie ruszałam jego rzeczy, bo sądziłam, że po nie wkrótce wróci.

– To co on wziął ze sobą?

– Tylko plecak i torbę. Miał taką skórzaną, zamykaną na zatrzaski. Wielką, przypominającą kształtem lekaarską. Ponoć po ojcu. Ale tam były tylko jego ubrania, ulubione książki. No i sprzęt do wędrówek: buty, bagnet, moro i śpiwór.

– Mówił, że wróci po resztę?

– Nic nie mówił. On po prostu przestał się do mnie kiedyś w ogóle odzywać. Nie uwierzy mi pan, ale po prostu zniknął, choć wciąż tu był...

– To wtedy pojawiła się dziewczyna?

– Tak. Ona miała na imię Justyna. Przypomniałam sobie, że kiedyś słyszałam, jak dzwonił do niej.

– I to wszystko z jej powodu? Zakochał się?

Zagryzła wargi.

– Ona nie ma tu nic do rzeczy! – warknęła. – Artur po prostu planował odejście, a przecież potrzebował kobiety. Nawet samce zwierząt potrzebują samic, nieprawda? On był jak takie zwierzę. Tyle że samotne i złe. Rozumie pan?

Nie odpowiedział.

– Łatwo mu to pewnie przyszło – powiedziała przytłumionym głosem. – Nie był wprawdzie tak muskułarny jak pan, ale podobał się kobietom. Szczupły, mroczny... Dużo czytał i choć rzadko coś mówił, to jednak, gdy już zaczynał, widać było, że on cały czas toczy ze sobą milczące rozmowy. To były długie monologi

pełne odwołań do literatury i filozofii. O, tak, on mógł się podobać.

Robert schował fotografię do portfela i zastygł.

– Co to jest? – wskazał na rzucone w kącie złachmanione futro.

Kobieta milczała. Wyraźnie na coś czekała.

Podszedł do pełnego szczeci tobołu i podniósł go. Od-  
ruchowo krzyknął i puścił go. Cofnął się wycierając ręce  
o spodnie. Przed nim leżała niewyprawiona, sztywna od  
zaschniętej posoki psia skóra z łbem i pazurami.

– Już pan rozumie, dlaczego się bałam? – Zaśmiała  
się histerycznie. – On takie rzeczy przynosił ze swoich  
nocnych eskapad.